

Bogusław Schaeffer

Loty niskie i wysokie

665

O Józefie Szajnie słyszałem — mimo że usiłowaliśmy się mijać w kawiarni (dużo się wtedy po kawiarniach chodziło) — dość późno i na ogół niepoehlebnie. Oho, pomyślałem sobie — to musi być ktoś. Kiedy ktoś budzi zazdrość, zawiść, niechęć, wówczas przychodzi nam automatycznie na myśl plejada wielkich artystów, którzy budzili u innych (a zwłaszcza u „konkurentów”) podobne uczucia. Mnie Szajna zainteresował zwłaszcza jako malarz. Scenografia jest z natury rzeczą funkcjonalną, obraz sceny musi „pasować” do sztuki, ale przyznam się, że mnie nigdy żadne dopasowywanie nie odpowiadało.

Istnieje mnóstwo ludzi zrecznych, którzy potrafią szukać w muzyce dopasować do tematu, jest w tym coś obrzydliwego. Gdyż wtedy wiem, że podobnie mógłby zrobić inny „artysta” — interpretator. Mnie natomiast interesuje sztuka autonomiczna, niezależna od „potrzeb” — zwłaszcza sceny czy reżysera. Bolesław Szabelski — nasz najwybitniejszy kompozytor najstarszego powojennego pokolenia — ubolewał kiedyś w pociągu, gdyśmy tak jechali na jakieś posiedzenie jury (wcale nie był taki małomówny, jak się nam to przekazuje), że nigdy nie dostał żadnej pracy do filmu czy teatru, a przecież on by to lepiej zrobił niż ten czy ów (a zwłaszcza ów).

Szabelski uważał, że liczy się przede wszystkim sztuka, a nie umiejętność „dopasowywania” muzyki do potrzeb teatru czy muzyki. I nie chciał wierzyć, że reżyserem wybitny kompozytor na nic by się

nie przydał. Taki reżyser uważa snadź, że wystarczy, iż on sam jest wybitny. Po co mu konkurencja, wystarczy byle kto; na ogół.

Mnie Szajna zainteresował zwłaszcza jako malarz. Powtarzam zdanie, ale naród mamy taki, że rozumie dopiero wtedy, gdy się coś dokładnie powtarza („Od lat interesuję się pan twórczością Kantora”). „Tak, od lat interesuję się twórczością Kantora i muszę powiedzieć, że jest to twórczość niezwykle interesująca”. — tak trzeba mówić: zwłaszcza w telewizji, gdzie twarze więcej mówią niż usta). Malarskie wizje Szajny przekonują niezwykłą stanowczością, ukazują artystę wrażliwego, artystę, który coś przeżył, artystę dotykanej materii, urabiającego własny świat według kanonów własnego prawa i własnie odczuwanej tkanki duchowej.

Istnieją artyści, którzy nie mają innych, nie mają nawet swoich odbiorców. Istnieją tacy, którzy swoim dziełem potrafią innym coś przekazać. Naoglądałem się i nasłuchałem w Polsce różnych plagiatów i zawsze podziwiałem tych, którzy osiągnięcia innych potrafili tak bezczelnie uważać za swoje (często były to jedyne ich osiągnięcia — sztuka ma też swoje poczucie humoru). I kiedy trafiam na artystę, który mówi naprawdę od siebie — jestem nim zachwycony. Bez zachwyty, bez entuzjazmu nie ma sztuki, jest tylko „interes”, który nazywamy sztuką.

Bezinteresowność sztuki. Poświęciłem temu tematowi wiele tekstów, sporo na ten temat jest w Audienacjach i Scenariuszach, ale czuję, że ten motyw jest u nas zupełnie obcy. Biedny naród, smakujący w sztuce tylko jej materialną stronę i na ten

temat między sobą głównie rozprawiający. W jednym z naszych pism jakaś pani pisze z nieklamany entuzjazmem, że na swój koncert kompozytor zjechał własnym mercedesem. Takiej pani nawet do głowy nie przyjdzie (bo skąd), że własnego mercedesa ma w Szwajcarii czy Bawarii i najprostszy wieśniak. Bezdena głupota, ale jakże rozpowszechniona.

Ja sukces upatruję w tym, że ktoś, kto mnie nie zna, wynajduje, gra i może lubi moje utwory. Albo kupi moje grafiki (spróbujcie dostać!), albo pyta o moje sztuki teatralne. I dlatego kiedy po jakimś moim koncercie w Galerii Krzysztofory w Krakowie podszedł do mnie Józef Szajna i zaproponował współpracę — byłem niezwykle uszczęśliwiony. Oto ktoś — komu ja odpowiadam duchowo. Dla teatru i sztuki — dla nikogo więcej (przepraszam, dla siebie, do swoich sztuk, ale to już całkiem inna sprawa). Moja muzyka teatralna — to Józef Szajna. Pan Józef rozumiał w lot moje autonomiczne aspiracje. Miał do mnie zaufanie.

Wiedział, że nie będę sztucznie dopasowywał muzyki do jakiejś wymyślonej koncepcji, może dlatego, że sam jest artystą ruchomym, podającym swoje kompozycje zmianom, przemieszczającym swój utwór w coraz to inne regiony, artystą sceny pulsującej, niespokojnej. Dowód na to mamy w licznych wersjach „Repliki”, do której skomponowałem muzykę. Tej muzyki nie chciałbym zmieniać. A nawet nie chciałbym, by — jak się tego kilka razy nawet domagano — „odnowić” taśmę. Szaj-



Bogusław Schaeffer
Fot. Stanisław Chmiel

na każde mi pozostać przy wersji pierwszej i ostatecznej, muzyka — tym razem — niszczy wraz z życiem. Jest w tym coś obrzydliwego, kiedy stary trup wchodzi do nowego auta (wcale nie auta, ale u diabła) — zamiast mówić o remoncie swojej osoby, przede wszystkim o remoncie duchowym, taki jegomość ratuje własne zramolenie świeżym polyskiem błachy... W „Replike” świat jest zniszczony, niech i muzyka dociera do widzów w takim też zniszczonym stanie. Taka jest moja wola.

Szajna pracuje w skupieniu, tworzy z intensywnością, która innym artystom wystarczyłaby na niewiadomo jak wielkie dokonania. A on dokonuje tego — czy dokonywał, bo pamiętam raczej lata siedemdziesiąte — tak zwykle, na co dzień. Jest wspaniałym człowiekiem pracy, twórczo skutecznej pracy. Imponujący, wielki artysta. Ale dzielił nas wiele. Mnie od kolebki interesuje lekkość, humor, ironia, dystans; nie potrafię się identyfikować z żadną

instytucją; mija 25 lat, kiedy byłem na zjeździe kompozytorów i mogą sobie jeszcze dalsze lata mijać, mnie to nie przeszkadza. Niech się zbierają. Będzie ich więcej.

Szajna nie ma poczucia humoru. Ale może to i dobrze, bo byłoby go za dużo — i co wtedy. „Replika” jest tak poważna, że aż przez swą powagę przejmująca. Pamiętam pierwsze wrażenia w Edynburgu, widzowie byli ogromnie przejęci. Szajna odkrył w teatrze i plastyce sceny, że człowiek może być przejęty. Bardzo to trudne zadanie dzisiaj, kiedy pokazuje się nam „krwawe obrazy”, tak okrutnie zwyczajnie, jakby to była codzienność.

Na antypodach „Repliki” i mojego w nim arcyważnego udziału leży kraina tragikomedii, którą uprawiam może i dlatego, że wymowny niemy teatr odsłania nam tylko jedną część naszej egzystencji. A ja poznaję i lubię poznawać ową drugą część, niewesołą wesołą, opartą na ironii faktu, że możliwości człowieka wcale nie odpowiadają temu, co robi. Żyjemy arcykrótko i w dodatku marnujemy się (i swoje możliwości). W tym upatruję tragizm naszej egzystencji. Moi ludzie — w teatrze — nie milczą, lecz mówią. A mówiąc odsłaniają całą swą niemożliwość. Ordynarność swojej egzystencji. Jakiś idiota — bo to był idiota — miał do mnie pretensje, że używam wulgarnego języka. Poziom naszej kultury teatralnej jest taki, że krytykowi mogło się wydawać, że ja mówię językiem moich „bohaterów”.

Opatrzność — dla mnie osobiście i okrutna, i arcyhojna — obdarzyła mnie nie tylko talentami, ale i świetnym słuchem (również w sensie fizycznym). We śnie i na jawie latałem dużo i zdarzyło mi się widzieć i słyszeć różne skłony tułowia oraz pojękiwanie. Ale czy to wszystko mogło by się równać ze zdaniem, jakie po dość kołyszającym locie wyrzekł do swojego pryncypała (takie stare, ale dobre określenie) attachowany do niego niższy urzędnik czy też goryl (trudne nieraz rozróżnić).

Ja, towarzyszu, do latania jestem, kurwa, chyba za subtelnym.

Oczywiście: ja tak nie mówię, ja tak słyszę.

Identyfikowanie autora z bohaterem książki czy sztuki ma swoją długą i niechlubną tradycję. Tradycję swoistego debilizmu. Na najniższym poziomie odbioru identyfikuje się aktora z bohaterem. Ze Ciapiąski nie musi być w domu takim bydlakiem, jakiego gra w filmie — tym ludziom — na tym poziomie — nie może przyjść do głowy. I próbuj tu z takimi dyskutować o rzeczach trudniejszych, gdy już na tak elementarnym poziomie wszystko zawodzi. Ale to tylko na marginesie.

Chociaż niekoniecznie. Teatr polski żyje nie tekstem, lecz obrazkami. Niemy film był przed filmem dźwiękowym. Niemy teatr pojawia się po teatrze mowy. Przykre. Przynajmniej dla mnie, bo nie wyobrażam sobie teatru bez słowa. Słowa okrutnie obnażającego człowieka, jego namiętności, jego pasje, jego poziom duchowy, jego intelektualne aspiracje. Teatr gapiów? — chcecie tego naprawdę?

Szajna brał się do tekstów nawyższej próby. Robił z nimi, co chciał, ale czy tak nie jest dziś w epoce elektronicznej, włączamy dziś i wyłączamy muzykę i teatr (w radio i telewizji np.) i wcale nie zauważamy, że tworzymy collage. Pierwsze gazety czytane były jak książki — od początku do końca, dziś przeleatujemy stronicę, na których tyle jest, a nic nie ma. Czy Państwu nie wydaje się, że może to mieć wpływ i na artystę; artystę, który tworzy collage, w muzyce formy otwarte i momentowe. Szajna preparował swój teatr nie z lekkomyślności, lecz z intuicyjnego rozumienia sztuki. Intencyjne rozumienie — cóż to jest, zapyta ten czy ów.

Jest to coś, co dotyczy tylko wielkich artystów, tych największych. Cieszę się, że należy do nich jako jeden z niewielu Józef Szajna, autor „Repliki”. Tak ludzkich i tak przejmujących. I tak niezaprzecalnie wyrazistych.